



KIH – α

Kurier Instytutu Historii

№ 7 (67), R. IX

kwiecień 2013

<http://www.sknh.uni.lodz.pl>

Spis treści

<i>VI Łódzka Wiosna Młodych Historyków.</i>	
<i>Podsumowanie.</i>	<i>2</i>
<i>Historyk a podróżnik... - relacja ze</i>	
<i>spotkania.</i>	<i>3</i>
<i>W prawym górnym rogu</i>	<i>3</i>
<i>Handel na obszarach polskich i</i>	
<i>europjskich w okresie wpływów</i>	
<i>rzymskich.....</i>	<i>4</i>
<i>Moje przygody w archiwach</i>	<i>8</i>
<i>Kultura: Wystawa Themersonowie i</i>	
<i>awangarda. Duże dzieci.</i>	<i>11</i>
<i>Polemika: W jaki sposób mówić</i>	
<i>o filmie?.....</i>	<i>12</i>
<i>Do Przeczytania, do zobaczenia.....</i>	<i>14</i>



VI ŁÓDZKA WIOSNA MŁODYCH HISTORYKÓW – PODSUMOWANIE

Choć kalendarzowa wiosna miała w tym roku pewne problemy z dotarciem, o czym przekonały się bociany i nie tylko, nasza VI Łódzka Wiosna Młodych Historyków rozpoczęła się zgodnie z planem 21 marca i to w samo południe.

W związku ze zbliżającą się 70. rocznicą wybuchu powstania w Gettcie Warszawskim, tematyką często goszczącą w debacie publicznej i planowanym wydaniem w języku polskim dzieła Raula Hilberga *Zagłada Żydów Europejskich* inauguracja skupiała się na problemach ujętych w ramach pierwszego panelu: *Wspólna przeszłość – różne historie*. Zaczęliśmy oficjalnie – podziękowaniom nie było końca. Wszyscy jednak czekali na „historyczne danie główne”. Gość specjalny – Jerzy Giebułtowski – tłumacz dzieł R. Hilberga w fascynujący i pełen ekspresji sposób zarysował m.in. kwestie przekładu tytułu i istotę tłumaczonego dzieła. Następnie prof. Rafał Stobiecki zainspirowany świadectwem, jakie zostawił R. Hilberg w postaci książki *Droga historyka Zagłady* przedstawił wykład na temat współczesnych interpretacji Holocaustu. Magister Adam Sitarek w odpowiedzialnej roli moderatora poprowadził dyskusję z udziałem wcześniej wspomnianych Jerzego Giebułtowskiego i prof. Rafała Stobieckiego oraz prof. Anny Ziębińskiej-Witek (UMCS), prof. Pawła Samusia i dr. Sławomira Nowinowskiego. Następnie po przygotowaniu sal oraz zajęciu stanowisk przez moderatorów rozpoczęły się obrady.

W piątek, 22 marca odbyło się spotkanie z Kevinem Kabumoto – Szefem Wydziału ds. Polityki Wewnętrznej w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Dyplomata działający w sekcji polityczno-ekonomicznej odniósł się do kluczowego słowa w tytule trzeciego panelu: *Trzy kontynenty, trzy światy. Zderzenie cywilizacji amerykańskiej z europejskimi*, następnie odpowiedział na pytania. Po całym dniu referatów i dyskusji można zgłodnieć. Zapachy unoszące się w Instytucie Historii zapowiadały wyjątkowo udany wieczór. Profesor Maciej Kokoszko przygotował kilka bizantyńskich dań i zaprezentował wykład na temat chleba. Magister Zofia Rzeźnicka przygotowała ciasteczka wg historycznej receptury. Trudno było wyobrazić sobie panel *Niebanalna historia codzienności* bez tzw. „gotowanego wykładu”.

W sobotę wysłuchać można było kolejnych referatów, a wieczorem spotkać się na imprezie integracyjnej i dokończyć pasjonujące dyskusje, niekiedy przerywane przez moderatorów strzegących z „żelazną” konsekwencją dyscypliny czasowej. Moderatorzy przydaliby się również na imprezie, ponieważ w niedzielę rano kontynuowane były obrady. Na ich koniec oprócz radości i satysfakcji wyrażonej w śpiewanej przez niektórych piosence: *To już jest koniec. Nie ma już nic. Jesteśmy wolni, możemy iść*, organizatorów ogarnął smutek – tyle miesięcy przygotowań i tak szybko minęły te cztery wspaniałe dni...

Estera Flieger

A oto opinia jednej z uczestniczek VI Łódzkiej Wiosny Młodych Historyków – dla takich słów naprawdę warto podejmować wysiłek i działać w Studenckim Kole Naukowym Historyków UŁ organizując konferencje:

Chciałabym wyrazić swoje szczere uznanie i serdeczne podziękowanie dla organizatorów studencko-doktoranckiej konferencji naukowej VI Łódzka Wiosna Młodych Historyków, która odbyła się w dniach 21-24 marca 2013 roku.

Duża skala przedsięwzięcia wymagała od organizatorów oprócz odwagi naprawdę dużego wkładu pracy i precyzji. Pomimo liczego uczestnictwa referentów z całej Polski, jak też z zagranicy, zarówno korespondencja mailowa, jak i komunikacja na samej konferencji przebiegały gładko i klarownie. Równoległe prowadzenie aż trzech paneli nie powodowało komplikacji, a czas wystąpień i dyskusji był zawsze skrupulatnie przestrzegany, co było

niewątpliwie zasługą doświadczenia organizatorów i ich dobrym przygotowaniem do pełnionych funkcji. Szczególnie jednak chciałabym wyróżnić bardzo serdeczny stosunek organizatorów, gotowość pomocy i otwartość.

Poziom merytoryczny konferencji był w mojej opinii bardzo dobry. Wyjątkowym wydarzeniem, z pewnością zapadającym w pamięć, był wykład prof. Macieja Kokoszki o kuchni antycznej i bizantyńskiej, uwieńczony wysmienitą degustacją potraw, przygotowanych przez samego prelegenta oraz panią mgr Zofię Rzeźnicką. Była to niezwykle miła i jakże smaczna niespodzianka.

Moje wrażenia z konferencji są jak najbardziej pozytywne. Jeszcze raz dziękuję organizatorom i wszystkim członkom obu kół naukowych za tak rzetelne przygotowanie wydarzenia i ciepłe przyjęcie oraz życzę sukcesów przy następnych projektach.

**Weronika Grzesiak,
Uniwersytet Jagielloński**

HISTORYK A PODRÓŻNIK – RELACJA ZE SPOTKANIA

W dniu 12 III 2013 r. odbyło się spotkanie „HISTORYK A PODRÓŻNIK. OBRAZ BAŁKANÓW”, na którym swoją obecnością zaszczylicili nas mgr Sławomir Szczesio oraz 3 przedstawiciele Studenckiego Koła Naukowego Geografów Turyzmu UŁ „Włóczykije”. Na początku spotkania mgr S. Szczesio w krótki i przystępny sposób przedstawił XX-wieczną historię Bałkanów. Nie obyło się bez licznych anegdot i żartów Pana S. Szczesio. Kolejnym punktem programu była relacja kolegów podróżników. Najciekawsze miejsca ze swojej wyprawy pokazali i wiele o podróży opowiedzieli: Patryk Bączyk, Paweł Czyż oraz Piotr Gawryszczak.

Spotkanie trwało prawie 2 godziny, ale czas upłynął szybko. Wszystkim obecnym dziękujemy za przybycie. Tym, którym nie udało się, niech żałują! Na plaży (zamkniętej, bo hotelowej) nocują kozy, po ulicach spacerują niedźwiedzie na smyczy, a 5 minut trwa o wiele dłużej – to wszystko w Albanii. A i wiemy również, jaki obowiązek ma dorosły Albańczyk oraz czym grozi posiadanie imienia Andrzej na półwyspie Athos. Wszyscy dowiedzieliśmy się także, jakie auto pochodzące z jednego z bałkańskich krajów przemawia w Stanach Zjednoczonych do swego właściciela: „YU GO”!). A niektóre uczestniczki spotkania spędziły całą noc na poszukiwaniu zdjęć w Internecie najprzystojniejszego mężczyzny Bałkan. Tak, tak podróże kształcą.

Ewa Kacprzyk, Marcin Gawryszczak

W PRAWYM GÓRNYM ROGU...

Drogi Czytelniku! To już drugie wydanie KIH-y z numerem ISSN widniejącym dumnie w prawym górnym rogu strony tytułowej. Wiadomość o jego otrzymaniu nadeszła w dniu oddania do druku marcowego numeru specjalnego – trudno było wyobrazić sobie lepszy moment. Nie bez pewnych przygód o charakterze – nazwijmy rzecz dyplomatycznie – kłopotów technicznych (wtajemniczeni dobrze znają sprawę) 8 cyfr pojawiło się na okładce.

Starania o ISSN rozpoczęliśmy kilka miesięcy wcześniej. Głównym z wymogów stawianych przez Bibliotekę Narodową było przesłanie wszystkich numerów miesięcznika, które ukazały się do tej pory. KIH-a liczy sobie już 9 lat, a więc trochę się ich uzbierało...

Archiwum SKNH UŁ nie było jednak pełne. Rozpoczęliśmy poszukiwania brakujących numerów. Do dziś cztery z nich nie zostały odnalezione i zyskały sobie tym samym nazwę „numerów widm”. Prawdopodobnie w ogóle nie istnieją. Przyjęto zatem teorię o błędzie w numeracji.

Bardzo dziękujemy wszystkim zaangażowanym w kompletowanie KIH-y: dr Tomaszowi Pietrasowi, dr Janowi Chańko, dr Wojciechowi Marciniakowi, mgr Andrzejowi Kompie oraz Paniom z naszej, instytutowej biblioteki.

Przy okazji warto przypomnieć o archiwum KIH-y na stronie www.sknh.uni.lodz.pl

Estera Flieger

HANDEL NA OBSZARACH POLSKICH I EUROPEJSKICH W OKRESIE WPLYWÓW RZYMSKICH

Obszary ziem polskich szczególnie wślawiły się w handlu bursztynem wydobywanym nad Bałtykiem. Z drugiej strony nie można całej uwagi koncentrować na bursztynie. Ziemi nad Wisłą, a także kraje północy dostarczały innych surowców, które trudno było zdobyć w położonej w klimacie śródziemnomorskim Italii, a także w krajach nadczarnomorskich. Źródeł na ten temat dostarczyły nie tylko badania archeologiczne, ale także historiografia rzymska.

Wśród autorów, którzy wspominają o szlaku bursztynowym trzeba wymienić Pliniusza Starszego. W *Historii naturalnej* dostarczył nie tylko najwięcej informacji o szlaku bursztynowym i opisał jego trasę od Carnuntum po Bałtyk, ale także określił nawet jego długość (prawie 600 mil). Pliniusz Starszy przekazał także zaginione fragmenty dzieła Filemona *O oceanie*. Opisane zostało tam wydobywanie żywicy w kopalniach. Możliwe, że znajdowały się one na Płw. Sambijskim lub na Mazurach.

Ważnych informacji na temat handlu w I w. dostarczył Tacyt. W swej *Germanii* napisanej w 98 r. ukazał obraz nie tylko stosunków etnicznych, ale także gospodarczych i społecznych w środkowej i północnej Europie. Przekazuje on także przydatne informacje o Estiach i ich wpływie na handel bursztynem. Informacje zapewne zebrał od podróżujących w regiony *Barbaricum* Rzymian.

Natomiast informacje dotyczące szlaków komunikacyjnych przekazał Klaudiusz Ptolemeusz w *Zarysie geografii*. Wadą jego pracy jest to, iż popełnił szereg błędów, które sprawiają kłopoty badaczom chcącym zrozumieć przesłanie jego dzieła ponieważ trudno zlokalizować niektóre miejscowości i obszary podane przez rzymskiego geografa. Dodatkowo współrzędne określane przez Ptolemeusza znacznie odbiegają od rzeczywistości.

W badaniach bardzo pomagały naukowcom źródła epistolograficzne. Przykładem jest list króla Ostrogotów Teodoryka do Hestiów z podziękowaniem za dar bursztynowy i z obietnicą rewanżu¹.

Natomiast ważne w odkrywaniu tych dróg są inskrypcje na kamieniach milowych stawianych przez Rzymian na obszarach Panonii i Noricum. Nie można zapominać o tym, iż ogromny wkład pracy w odkrywaniu szlaków komunikacyjnych włożyli archeolodzy. Wiadomo, że Rzymianie budowali niezwykle trwałe i wytrzymałe drogi, które zachowały się do dziś. Natomiast na obszarach położonych poza Imperium szlaki były niebrukowane. Stąd trudno dziś wskazać ich przebieg. Szczególną uwagę specjaliści zwracają na umiejętność

¹ J. Wielowiejski, *Główny szlak bursztynowy w czasach cesarstwa rzymskiego*, Warszawa 1976, s. 14-17.

rozdzielania szlaku bursztynowego od drogi bursztynowej. Ze względu na lepszy stan nawierzchni w obrębie Imperium Romanum znajdują się drogi bursztynowe. Na północ od Dunaju aż do Bałtyku przebiegają szlaki bursztynowe. Trzeba wspomnieć o tym, że odkrywanie małych fragmentów szlaku bursztynowego zajmuje badaczom wiele lat. Niektóre odcinki trasy pozostają wciąż nie odkryte. Dobry stan dróg rzymskich spowodował, iż kupcy do *limesu* rzymskiego z obszaru położonych nad Adriatykiem poruszali się drogą lądową. Na obszarach położonych na północ od Dunaju przeważają szlaki wodne. Moim zdaniem świadczy to o tym, że na obszarach Rzymu kupcy czuli się bezpieczniej, niż na zalesionych, niezagospodarowanych obszarach dzisiejszej Polski.

Natomiast jeśli chodzi o przebieg szlaku bursztynowego to trzeba zacząć od miasta Aquilea leżącego nad Morzem Adriatyckim. Idąc bardziej na północ dostrzegamy Vindobonę i Carnuntum, które nazwane zostały *castrum legionie*, czyli obozy legionowe ustanowione na granicy przez Rzymian do obrony przed ludami z północy. Wiele *castrorum* (czyli warownych obozów) zostało utworzonych na Dunaju, który stanowił granicę cesarstwa rzymskiego. Zaliczyć do nich można takie miasta jak Celamantia, Crumerum, Teutoburgium i Alisca.

Skupiając się na szlakach znajdujących się na obszarach Polski nie można sobie wyobrazić, że utworzono jeden, niezmienny. Tych szlaków było bardzo dużo. Łatwo jest dostrzec, iż szlaki przebiegały wzdłuż rzek płynących przez obecne ziemie polskie. Na pewno do nich zaliczymy: Odrę, Wartę, Wisłę, Parsętę i oczywiście położony już poza dzisiejszymi granicami Dunaj. Komunikacja wodna była z pewnością łatwiejsza i mniej uciążliwa od dróg lądowych. Budowano różne rodzaje łodzi, jak np. te wykonane z desek czy dębki. Do transportu lądowego używano wołów, które zaprzęgano za pomocą jarzma. Koni jako zwierząt jucznych nie używano. W pierwszych wiekach naszej ery zaczęto używać wozów na czterech kołach. Zimą często przeprawiano się saniami po zamarzniętych rzekach.

Mimo popularności szlaków pomiędzy Italią a terenami Barbaricum, nie można zapominać o tym, iż istniały inne szlaki łączące antyczne miasta położone nad Morzem Czarnym ze zlewnią Bałtyku. Główną arterią komunikacyjną na szlaku czarnomorskim był Dniestr. U jego ujścia leżał port Tyras. Następnie droga ta kierowała się w stronę Bugu, Wieprzu lub Sanu. Innym znanym portem była Olbia w której do morza wpada rzeka Boh. Od Olbii szlak ten dochodził do górnego Bugu. Bardzo ważna była morska droga przez Bałtyk. Dzięki niemu komunikowano się z wyspami Olandią, Gotlandią i Bornholmem. Przewożono z tych obszarów futra skandynawskie, tak bardzo poszukiwane na Południu².

Nie można zapominać, iż handel z obszarami barbarzyńskimi zapoczątkowali Celtowie. Po upadku cywilizacji lateńskiej ich dzieło kontynuowali Rzymianie. Zmiana ośrodka lepiej wpłynęła na handel. Rzymianie rozbudowali go i wzmocnili. Prężną działalność rozpoczęły wtedy liczne firmy kupieckie północnoitalskie. Ich centrum stanowiła Aquilea, założono także porty w Nauportus i Emonie. Kupcy działali w Panonii i Noricum. Szczególną aktywnością odznaczał się „dom przemysłowo-handlowy” należący do rodu Barbiów. Na terenie Panonii działała firma Caeserniów³. Filie tych firm znajdowały się w głównych miastach naddunajskich takich jak Carnuntum, Lauriacum i Aquincum. Firmy te zatrudniały główną grupę *negotiatores*. Tą nazwą określano bankierów, właścicieli warsztatów i innych przedsiębiorców. Natomiast kupcami niższego rzędu byli *lixae* – markietanie, drobni kupcy i kramarze. Towarzyszyli zwykle formacjom żołnierzy, sprzedawali im różne produkty i nabywali zdobyte łupy na wojnie. Nie można zapominać o tym, że nie tylko działały wtedy firmy handlowe, ale handlem trudnili się także kupcy pochodzenia miejscowego. Przede wszystkim, to oni dostarczali bursztynu pochodzącego z dalekich obszarów Bałtyku.

² Idem, *Życie codzienne na ziemiach polskich w okresie wpływów rzymskich (I- V w)*, Wrocław 1980, s. 127-132.

³ Idem, *Główny szlak...* s. 137-138.

Na coraz większe znaczenie szlaku bursztynowego wskazuje traktat *iuscomerce* zawarty między Markiem Aureliuszem i Markomanami w 174 r. zapewniający kupcom bezpieczeństwo i swobodę w handlu, a także ustalający miejsca i dni targów Rzymian z państwem Maraboda. Ziemia polska także miała swoje pradawne miejsce spotkań ludności w celach handlowych. To targowisko zostało nazwane Starym Tarczkiem lub Świętomarzą⁴. Druga nazwa miejscowości pochodzi prawdopodobnie od ludowego imienia Matki Bożej i przetrwała w formie Świętomarz. Nie można wykluczyć tego, że targowiska istniały w rejonach Wrocławia, Nowej Cerkwi, Opoli, Legnicy, Głogowa i Krakowa.

Po upadku kultury lateńskiej wyraźne zwiększenie importu na terenie Barbaricum następuje w I w. p.n.e. Wtedy rozwinęły się kolejno państwa Markomanów i Kwadów. Krąg odbiorców rzymskich był zdecydowanie wąski, o czym świadczy wyposażenie słynnych „grobow lubieszewskich”. Wytworzono wtedy wiele pięknych wyrobów m.in. misa z wylewem w kształcie głowy zwierzęcej znaleziona w Łęgu Piekarskim. Została odlana z brązu, jest pięknie zdobiona i wykładana czerwoną emalią. Z drugiej połowy III w. pochodzi wiaderko wykute ze srebrnej blachy, znalezione w jednym z grobów „książęcych” we Wrocławiu - Zakrzewie.

W handlu bursztyn zaczął odgrywać dominującą rolę na przestrzeni I – III w. Czasy od Wespazjana (69-79 r.) do początków rządów Marka Aureliusza (161-180 r.) określane jako złoty wiek cesarstwa, niewątpliwie mają swoje odzwierciedlenie we wzroście popularności „Złota Północy”. W celu dotarcia do bursztynodajnych obszarów Bałtyku kierowano się nie tylko trasą z Carnuntum, ale także licznymi odgałęzieniami. Bursztyn był obrabiany w warsztatach rzymskich. Specjalizowali się w tym mieszkańcy Aquilei. Większe bryły bursztynu stanowiły doskonałe tworzywo do wyrobów artystycznych różnego rodzaju np. figurki, amulety, flakoniki i szkatułki. Niektóre wyroby osiągały bardzo wysokie ceny. Najpiękniejsze okazy tych dzieł można oglądać do dziś w muzeach włoskich i węgierskich.

Faza oznaczająca się najprężniejszym handlem z Rzymem, to faza B2. Warto wspomnieć, że charakterystyczne zaczynają być dla tego okresu, jak i późniejszych, słynne monety rzymskie, które można odnaleźć na różnych obszarach ziem polskich. Od III w. wymiana ta zaczyna słabnąć, a część importów to łupy, trybuty, subsydia i żołd wypłacane barbarzyńcom służącym w armii rzymskiej. Zmiany w handlu wyraźnie wskazują na słabnięcie cesarstwa. Do tego przyczyniły się między innymi najazdy germańskich Alamanów, które spowodowały upadek prężnych ośrodków produkujących ceramikę. W wiekach IV i V nastąpiły lepsze czasy dla handlu, gdyż wtedy panowała dynastia konstantyńska (306-361 r.). Import naczyń metalowych zmniejszył się wtedy na rzecz naczyń szklanych (m.in. pucharów), charakterystycznych dla strefy obejmującej tereny od Ukrainy po Skandynawię. Dzięki tym importom powstają lokalne ośrodki produkcji szkła takich jak np. Komarów nad Dniestrem. Po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego ważną rolę w kontaktach z Północą odegrali Ostrogoci. Wtedy już handel opisują relacje Kasjodora i Jordanesa.

Poruszając temat handlu trzeba go podzielić na handel lokalny i import. Ten podział jest bardzo istotny, ponieważ zmieniają się przedmioty służące do wymiany. W lokalnej wymianie poczesne miejsce zajmowały płody rolne i hodowlane, produkty leśne i zwierzęce, przetwory oraz sól. Niewykluczone, że towarem byli też ludzie. Zdecydowanie ciekawszy i bardziej zróżnicowany był import. Odnajdywane na naszych ziemiach są liczne puchary, wiadra, rondle i czerpaki.

Najefektowniejszy jest srebrny puchar w kształcie greckiego *kantarosu* z Gostawic koło Opoli. Jego brzusiec zdobią cztery płaskorzeźby z głowami psa, konia, byka i gryfa. Niektóre elementy tego przedmiotu wskazują, iż wcześniej był połączony. Licznie występują na Pomorzu i Kujawach kociołki i misy o powierzchni pokrytej żłobkami. Do unikalnych

⁴Idem, *Życie codzienne...*, s.122.

znalezisk należy posrebrzana misa z Rudy, w powiecie chełmińskim. Dno wewnętrzne naczynia zostało bogato ozdobione techniką rytowniczą.

Bardzo dużo odnaleziono fibul i zapinek, które zastępowały dzisiejsze guziki. Ich tarczki były ozdobione różnokolorową emalią. Najwięcej zapinek tarczowatych pochodzi z Pomorza Nadwiślańskiego i z obszaru kultury zachodniobałtyjskiej. Z fibul późnorzymskich na uwagę zasługują egzemplarze ramionowate, zakończone trzema cebulastymi główkami; z obszarów polskich znamy tylko kilka takich zapinek. Importowane na nasze obszary były także miecze z odciskami stempli lub wyobrażeniami figuralnymi i nieodłącznie z nimi związane do nich pochwy. W Polsce znaleziono 23 egzemplarze, a w Europie 40. Dużą grupą importowaną były słynne naczynia *terra sigillata*, czyli inaczej ziemia (głina) stemplowana. Ceramika ta została rozpowszechniona wśród ludności rzymskiej. Jednak inne powody decydują o tym, że jest dobrym materiałem źródłowym. Dzięki odcisniętym na niej stemplom różnych wytwórni można dokładnie określić czas i miejsce powstania. Ma to ogromne znaczenie dla odtwarzania historii handlu. Odnaleziono 8 lampek, liczne paciorki, ozdoby, szczątki tkanin jedwabnych, a nawet przybory kosmetyczne takie jak złota pincetka i złota łyżeczka do wycierania uszu⁵.

Ogromne znaczenie dla przedstawienia historii handlu mają monety. Dają także obraz sytuacji gospodarczej w Imperium Romanum. Monety na obszarach Barbaricum nie zawsze musiały być traktowane jako miernik wartości. Dość często można znaleźć przedziurawione monety potraktowane jako wisiorki. Z drugiej strony nie można oskarżać mieszkańców ziem polskich o brak szacunku do wartości pieniądza, ponieważ często znajdowane są w grobach starszyny plemiennej, a więc osób, które posługiwały się pieniędzmi w czasie transakcji. Import monet rzymskich spowodował zmianę z gospodarki „toważ za toważ” na gospodarkę towarowo-pięniężną. Monety rzymskie aż tak się upowszechniły na ziemiach polskich w II poł. II w. i na początku III w., że najprawdopodobniej były używane także w transakcjach wewnętrznych. Antoniniany i monety brązowe z III i IV w. nie mogły już odgrywać dużej roli, ponieważ miały małą wartość kruszczową. Najliczniejsze na naszych ziemiach denary cesarza Antonina Piusa w pewnym momencie zaczęły wypierać, zgodnie z prawem Kopernika-Greshama, o lepszej wartości antoniniany. Inaczej nazwalibyśmy ten proces inflacją. Problemy monetarne wskazują także na kryzys gospodarczy w państwie rzymskim. Złagodzenie kryzysu monetarnego nastąpiło za czasów Dioklecjana i Konstantyna. Wtedy wprowadzono nową walutę solidus. Stąd pochodzi przymiotnik „solidny”. Nastąpił nowy okres w mennictwie rzymskim, w obiegu znajdowały się monety złote i brązowe. Napływ pieniądza rzymskiego na ziemię polską kończył się w pierwszej połowie VII w. Następne w handlu monety, które dostrzegamy na naszych ziemiach to arabskie i zachodnioeuropejskie, pochodzące z IX i X w. O ogromie znaleziska monetarnego w Polsce świadczy liczba kruszczu stanowiąca 50 000 monet srebrnych i 1050 złotych⁶.

Odległość obszaru od granic Imperium rzymskiego niewątpliwie wpływała na stosunek tamtejszej ludności do monet rzymskich. Przez to można wyróżnić pięć stref. W strefie pierwszej znajdowała się Austria i zachodnia Słowacja. Monety używane tam były nawet w handlu wewnętrznym. Duże znaczenie monety miały na Śląsku. Dlatego należy on do strefy III. W strefie V znajdują się Mazury. Pozaekonomiczna funkcja tamtejszych monet przejawia się w tym, że wkładano je do grobów. To świadczy o niskim upieniężnieniu tamtejszych obszarów⁷.

Handel z cesarstwem rzymskim miał ogromne znaczenie dla rozwoju gospodarki na ziemiach polskich. Prężnie rozwinęła się wtedy kultura, a także inne dziedziny działalności

⁵ *Ibidem*, s. 135-143.

⁶ *Ibidem*, s. 157-158.

⁷ *Ibidem*, s. 162.

takie jak szklarstwo, włókiennictwo, warzelnictwo, bursztyniarstwo, metalurgia i łowiectwo⁸. Z drugiej strony bursztyn stawał się coraz popularniejszy za czasów cesarza Nerona. Dotarcie licznych wypraw na krańce ówczesnego świata miało mieć cel propagandowy i świadczyć o wielkości i potędze cesarstwa. Z tego powodu wysłał Julian, organizator igrzysk dla Nerona, pewnego rzymskiego ekwity nad Bałtyk. Ekwici stanowili arystokrację finansową, więc nic dziwnego, że powierzono mu niezwykle trudne i odpowiedzialne zadanie. Według relacji Pliniusza tego bursztynu przywiózł niezwykle dużo. W tej chwili można uruchomić wyobraźnię i przywrócić postać bezimiennego rzymskiego obywatela wyruszającego ku dzikim i niebezpiecznym obszarom Północy...⁹

Anna Łazuchiewicz

MOJE PRZYGODY W ARCHIWACH

*Jesteś bitwą moją nieskończoną
w której co dzień o przyciółek walczę...*
K. Lebionko, *Jaka jesteś*

Co prawda podmiot liryczny w wierszu Krzysztofa Lebionko, wspianale wykonywanego przez Tomasza Lewandowskiego, miał na myśli nieco inną bitwę, ale cytat dobrze wpisuje się w moje doświadczenia z kwerend w różnych archiwach, muzeach, etc. Jeżeli jeszcze nie mieliście okazji tego doświadczyć to pomimo lektury dalszej części mojego artykułu polecam z całego serca każdemu pracę w archiwach i muzeach. Radość jaką dają dołożenie kolejnej cegiełki do gmachu wiedzy o przeszłości jest naprawdę duża.

We wstępie chciałbym przedstawić założenia metodologiczne tego krótkiego tekstu. Spróbuję w nim opisać „najciekawsze” perypetie które przydarzyły mi się w trakcie badań do mojego licencjatu i magisterium. Zgodnie z życzeniem Pani Redaktor pominię nazwy miejscowości i nazwiska.

Podjęcia kwerend archiwalnych wymagało przygotowanie mojej pracy licencjackiej na temat: *Pieczenie i herby miast województwa rawskiego do 1793 r.*, którą przygotowywałem pod kierunkiem uznanego autorytetu w tej dziedzinie i któremu korzystając z okazji bardzo dziękuję za wsparcie oraz pomoc. Ponieważ temat nie był od dawna podejmowany, chciałem oprzeć się na własnych badaniach. W trakcie przygotowywania tej pracy, oraz mojego magisterium i kilku innych referatów odwiedziłem kilkanaście różnych instytucji zajmujących się przechowywaniem materiałów z interesującego mnie terenu. Najczęściej byłem przyjmowany niezwykle uprzejmie i bez większych problemów, ale oczywiście spotkało mnie kilka „piekielnych” przygód. Generalnie, jak to słusznie zauważył mój promotor, im mniejsza placówka, tym przyjemniejsze kwerendy.

Wszędzie gdzie chcemy przeprowadzić kwerendy warto mieć ze sobą pismo z Uniwersytetu. W jaki sposób je przygotować na pewno będzie wiedział promotor naszej pracy. Jak słusznie zauważył Pan Tomek z archiwum w naszym mieście wojewódzkim, nie jest ono już do niczego potrzebne. Zmienia jednak nieco spojrzenie na osobę, która rozpoczyna swoje badania.

⁸ Idem, *Główny szlak...*, s. 175-181.

⁹ J. K. Kozłowski, P. Kaczanowski, *Wielka historia Polski. Najdawniejsze dzieje ziem polskich*, Kraków 1998, s. 138.

Kiedy już będziemy gotowi do badań i jakimś cudem uda nam się dotrzeć do miasta w którym znajduje się potrzebna nam placówka, musimy jeszcze do niej trafić. Zwykle archiwum znajduje się w pewnym oddaleniu od centrum. Najgorszym położeniem może się chyba pochwalić archiwum w mieście nad Ochnią. Znajduje się ono na ul. Zamkowej, co początkowo mnie ucieszyło, bo pomyślałem, że będzie to jakaś reprezentacyjna ulica. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Dotarłem do ulicy, w duchu ciesząc się że nie jest wieczór, wśród rozpadających się budynków miejscowego elementu zamieszkującego „Wenecję”¹⁰. Aby dostać się do archiwum należy wejść do bramy i „z duszą na ramieniu” dotrzeć do kraty, zadzwonić i poczekać, aż ktoś raczy nam otworzyć. Jak słusznie zauważyła jedna z osób, którą kiedyś spotkałem w pracowni naukowej: *Na szczęście niedaleko jest przychodnia...*

Zacznę mój wywód od placówek niepaństwowych. Nieco różnią się one od archiwów państwowych, głównie tym, że nie obowiązują w nich zasady centralnie narzucone przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych i możemy się w nich spodziewać wszystkiego. Zawsze wizytę w takiej placówce należy zapowiedzieć, bo może się okazać, że akurat tego dnia, na którego ją zaplanowaliśmy, akurat nie będzie pani Joli, czy pana Stefana i będzie można tylko „pocałować klamkę”. Praca w małych muzeach oznacza zwykle, że miejsca do pracy będzie naprawdę niewiele, ale za to jest dość duże prawdopodobieństwo, że młody naukowiec z Uniwersytetu dostanie kawę lub herbatę.

Wbrew obiegu opinii panującej wśród pracowników zatrudnionych w archiwach, w każdej placówce panują trochę inne zasady. Pomimo pozycji „stałego bywalca” nadal zdarza mi się popełniać jakieś *foux pa* w oczach osób wyznaczonych do pracy w pracowniach naukowych. Podstawową różnicą jest ilość i sposób wypełniania rewersów. We wszystkich wspomnianych placówkach obowiązuje ten sam wzór, ale to ile razy musimy go wypełnić już znacząco się różni. Najtrudniejsza, wbrew pozorom, jest rubryczka sygnatura. To ile cyferek i w jaki sposób można na niej umieścić ustalają sami archiwiści. Oczywiście wypełnienie rewersu inaczej niż przyjęło się w danej placówce sprowadza na badacza marsowe spojrzenie pracownika. Dla przykładu w mieście, w którym przyszło nam studiować, wypełniamy dla każdej sygnatury jeden rewersik na dole i na górze identycznie. Za to w moim rodzinnym, pelikanim grodzie wpisujemy do 6 sygnatur na górze i tyleż samo na dole, bo trzeba oszczędzać papier. Zasady korzystania z „zeszytu odwiedzin” również znacząco się różnią.

Po zamówieniu archiwista zwykle udaje się do magazynu i przynosi potrzebne nam materiały. Oczywiście nie będziemy mogli skorzystać z dokumentów w złym stanie. W archiwum, w mieście w którym zaczyna się Centralna Magistrala Kolejowa, nie dostaniemy również materiałów niespaginowanych¹¹. Pewnego razu czekając na wydanie teczek zauważyłem, że Pan Darek zajmuje się paginacją materiałów dla mnie¹². Zapytałem czy mogę mu pomóc, w końcu nie wymaga to jakiś większych umiejętności, a pozwoliłoby na dwa razy szybsze wydanie mi zamówionych teczek. Usłyszałem, że niestety nie może tego zrobić i sam musi ponumerować karty. Nietrudno odgadnąć, że nie byłem tym szczególnie zachwycony.

W tym samym archiwum regulamin przewiduje, że w wypadku dużej ilości odwiedzających będzie wydawane tylko 10 sygnatur. Podczas jednej z moich wizyt natrafiłem na taki moment i usłyszałem, że dostanę tylko wspomnianą już ilość teczek. Żadnego z pracowników nie interesowało ile czasu zajęło mi dojechanie do ich pięknego miasta. Po 30 min. wizyty mogłem zacząć szykować się do 4 godz. powrotu.

¹⁰ Wenecja – lokalna nazwa dzielnicy znajdującej się nad rzeką, w której mieszka „elita” miasta.

¹¹ Dla niewtajemniczonych paginacja polega na ponumerowaniu kart. Sprowadza się to do napisania ołówkiem niewielkiego numerka w prawym górnym rogu karty.

¹² Mniej więcej wiem jak powinny wyglądać materiały które zamawiam. Korzystam z trochę innych materiałów niż pozostali badacze.

Bardzo ważne w pracach archiwalnych jest nawiązanie kontaktu obsługującym nas archiwistom. Oczywiście formuły grzecznościowe i uśmiech mają swoje znaczenie, ale najważniejsza jest informacja o imieniu pracownika. Dobrym przykładem będą tutaj moje doświadczenia związane z Panem Mariuszem, pracownikiem archiwum w jednej z nadwiślańskich stolic Mazowsza. Zawsze uważałem, że w tej placówce muszę wieki całe czekać na zamówione tezki, kiedy już zacząłem się zwracać „jak należy” dostają je znacznie szybciej, a atmosfera zrobiła się bardziej pozytywna.

Kiedy już zobaczymy co znajduje się w interesujących nas tezkach, oprócz notatek będziemy bardzo często chcieli zrobić zdjęcia interesującym nas kartom. W tym celu należy wypełnić deklarację w której podajemy interesujące nas sygnatury. Zwykle dostajemy od ręki podpis pracownika i już możemy „cykać fotki”. Ten piękny obraz idealnie zaburzą nam placówki będące oddziałami archiwum w stolicy Władysława Hermana. Tam deklaracja musi „wylądować na biurku” u dyrektora „centrali”, który musi ją osobiście podpisać i odesłać do odpowiedniej placówki. Nikogo to nie interesuje ile kilometrów musieliśmy pokonać, jeżeli chcemy wykonać kopię musimy przyjechać jeszcze raz. Jeżeli źle, lub niewyraźnie podamy nazwę zespołu¹³ nie dostaniemy zgody, a historia zacznie się jeszcze raz. W ten sposób zyskuje Poczta Polska, a badacze tracą czas i pieniądze. Oczywiście zasady nie obowiązują w pracowni zarządzanej przez Pana Mariusza, tam po prostu wypełniamy deklarację i robimy zdjęcia. Dokumentu tego od niedawna nie trzeba wypełniać w placówkach podległych stołecznemu archiwum, wystarczy tam tylko zaznaczyć odpowiednią rubryczkę na zgłoszeniu.

W niektórych pracowniach naukowych spotkamy się z przerwą najczęściej nazywaną: „Przerwą technologiczną na wietrzenie sali”. Na 15 min. w tym celu bez względu na ilość korzystających i warunki meteorologiczne należy o umówionej porze opuścić pracownię. Jest to czas, w którym można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy dotyczących przedmiotu badań innych osób, które akurat tego dnia spotkaliśmy w archiwum. Najczęściej będą one dotyczyły genealogii.

Zwykle niedługo po przerwie nadchodzi godzina zakończenia pracy. Przed młodym naukowcem stanie konieczność powrotu do domu. Przy odrobinie szczęścia, potrzebnego do korzystania z polskiego transportu zbiorowego, uda mu się wrócić bezpiecznie do swojego miejsca zamieszkania z ogromnym bagażem wiedzy, który być może wykorzysta w swojej pracy.

Na zakończenie dziękuję mojemu promotorowi, pracownikom archiwów i wszystkim dobrym ludziom, których spotkałem w trakcie moich kwerend. Bez Państwa nie byłoby tego tekstu. Proszę także koleżanki i kolegów z bloku archiwalnego: *Nie wymyślajcie jakiś absurdalnych, utrudniających badania zasad!*

Grzegorz Trafalski

¹³ Musi być podana pełna i dokładna nazwa zespołu. Nie można korzystać z żadnych ogólnie przyjętych skrótów. Nie można więc podać np. ASC Kutno, musi być Akta Stanu Cywilnego Parafii Katolickiej w Kutnie.

KULTURA

WYSTWA THEMERSONOWIE I AWANGARDA DUŻE DZIECI

Wystawa dzieł Themersonów w Muzeum Sztuki MS2 w Łodzi jest dobrą kompilacją. Świetnie oddaje ona charakter dorobku polskiego małżeństwa. Zarówno układ jak i dobór dzieł sztuki, jest zrównoważony, obyło się bez przeciążeń. Wszystko jest czytelne, przejrzyste. Swobodnie przechodzimy do kolejnych problemów wybranych dla nas przez kuratora – Pawła Polita. Ja zauważyłam tu przede wszystkim, chyba najbardziej urokliwą z twarzy artystów – dziecięcą. Dzieci, które dzięki swojemu spojrzeniu na otoczenie, nowatorstwu i w pełni naukowemu podejściu do poruszanych przez siebie problemów, stworzyły podwaliny pod poezję somantyczną czy film eksperymentalny pierwszej awangardy. Biorąc na warsztat tematy nieczęste wśród artystów, z prawdziwie młodzieńczą fantazją, tworzyli wszystko na poważnie.

Stefan Themerson stał się dla mnie dużym dzieckiem w ćwiczeniach lingwistycznych, gdzie posługuje się wypracowaną przez siebie, przemyślaną i szeroko opisywaną, formułą języka somantycznego czy w filmie *Stefan Themerson i język*. Bo czyż nie jest dziecięcą przemowa: *Jaśnie Oświecone Mości, Panowie Magnaci, Bracia i Siostry Szlachta, Mężczyźni i Kobiety, Plemniki, spoczywające na brzegach krzesetek; Wirusy. Nie ma żadnych wierszy – powtórzyłem – i w tej samej chwili poczułem, że to nieprawda*. Themerson w swoich poszerzonych (wobec działań Hausmanna i Schwittersa) rozważaniach i pracach na temat języka pisał, że zastanawia go: *pisanie poezji słowami odartymi ze wszelkich skojarzeniowych aureoli, wziętymi tak wprost, jak je dostarcza słownik*. Mówi on także o swoich poematach semantycznych iż *możemy je odczytywać poziomo, słowo po słowie, i w ten sposób wydobyć ich melodię, możemy jednak także każde ze słów rozpisać na całą intelektualną orkiestrę (...) i zamiast pozwalać aby wywołały w naszych umysłach jakieś skojarzenia przypadkowe, możemy postarać się znaleźć w nich prawdziwą, tłustą rzeczywistość*. Franciszka dzieckiem jest na pewno, tworząc niesamowity komiks *Ubu* dosztuki Alfreda Jarry'ego *Ubu Roi*, który został wydany po raz pierwszy w Polsce, właśnie przy okazji opisywanej wystawy. Artystka projektowała również scenografię i kostiumy do tego przedstawienia, na wystawie widzimy jej *Fragment armii* jako projekt sceniczny. Wszystkich zachwyca mapa Franciszki, jako ilustracja do powieści Themersona *Wykład profesora Mmaa*. Pomysłowe, kreska ciekawa. Dzieciaki zachwycają się takimi postaciami. Jest bardzo bajkowo. Bajką, lecz tragiczną jest również *Łabędź, ryba i rak*, pragnące udawać konia, muła i wielbłąda. Themerson zadziwia. Tworzy dla dzieci, bawi się językiem, no i chwyta za kamerę...

Malarka i pisarz zajęli się wspólnym tworzeniem filmów eksperymentalnych. Dzieła były swoistym skokiem awangardy polskiej ku nowemu, plasują ich twórców wśród najważniejszych przedstawicieli tego kierunku. Ich pomysłowość i wszechstronność, poruszane tematy, zachwyca. Themersonowie stworzyli pięć filmów awangardowych w nowatorskiej technice fotografowanych klatka po klatce przedmiotów, na specjalnej kalce. Wiele z tych klisz widzimy na ekspozycji. Jednak tylko jeden z nich zachował się w całości, jest to *Przygoda człowieka poczciwego*. Mnie najbardziej zachwyciła *Legenda o Wandzie* - pieśń czwarta filmu *Oko i ucho*, ostatniej pracy Themersonów. Głównym problemem poruszonym w filmie jest integracja dźwięku i obrazu czy obrazowanie muzyki. W filmach Themersonowie pokazali nieposłuszeństwo wobec presji ideologicznych świata dwudziestolecia międzywojennego. Wg Urszuli Czartoryskiej zależało im na *tworzeniu widzeń*, a nie tylko czystego, jednorodnego i niepodlegającego szerszej interpretacji obrazu. Polegali na jego liryczności. Jako dzieci multimediów, bawili się tworząc np. *Europę*. Jest ona zlepkiem fotogramów, negatywów, wycinków, powiększeń i zwielokrotnień. Filmem

abstrakcyjnym z elementami drukarskimi i geometrycznymi. Wśród zaprezentowanych dzieł pojawił się również projekt opery. Stefan Themerson tworzący muzykę, Franciszka scenografię. Od razu pojawia się tu skojarzenie pełnej interdyscyplinarności artystów.

Wystawie Themersonów towarzyszyło sympozjum, które pozwoliło na lepsze zrozumienie problematyki, tak szerokich przecież zainteresowań twórców. Ich usilnego dążenia do wypełnienia luki pomiędzy nauką a sztuką. Udział wzięli: Rod Mengham, Nick Wadley, Agnieszka Karpowicz i Jasia Reichardt. Do najważniejszych zagadnień w wykładach należały prezentacja GaberbocchousCommonRoom, gdzie artyści przez kilka lat ukazywali wyniki swoich poszukiwań twórczych. Oprócz tego zajęto się powszechną już dziś intermedialnością w sztuce, czy dorobkiem literackim Stefana Themersona.

Wystawa według jej twórców, stanowi próbę rekonstrukcji i rozwinięcia założeń w łódzkim Muzeum Sztuki z wystawy w 1981 r. Artyści zupełnie niesamowici i niejako czołowi reprezentanci awangardy, jawią się jako duże dzieci zachłyśnięte światem multimediiów. Poszukują *tlustej rzeczywistości*. Dobrym dopełnieniem staje się tu w kontekście filmu eksperymentalnego – film animowany Juliana Antonisza, którego retrospektywę oglądać możemy aktualnie w warszawskiej Zachęcie. Bardzo polecam obie. *Themersonowie i awangarda* w Łodzi do 5 V 2013.

Monika Latkowska

POLEMIKA

Odpowiedź Czytelnika na tekst *Oscarowe propozycje* (E. Flieger, *Oscarowe propozycje*, „KIH-a”, r. IX, nr 6, s. 13-17).

W JAKI SPOSÓB MÓWIĆ O FILMIE?

Film, obraz w ruchu, widowisko kinematograficzne składające się z rzutowanych na ekran obrazów, dających złudzenie ruchu. Tak mogła by brzmieć jedna z wielu definicji. Film to jednak coś więcej, to dziedzina sztuki, przelanie naszych wyobrażeń, myśli na ekran. Dzięki niej możemy przenieść się w najodleglejsze zakątki świata, czy brać udział w pościgach za niebezpiecznymi przestępcami bez konieczności opuszczania fotela domowego, czy też tego, znajdującego się w kinie. Tylko jak o nim pisać? Jak zachęcić, przedstawić konkretne dzieło, ażeby nie odbierać innym przyjemności jego odkrywania. Nie będzie tajemnicą, iż niniejszy tekst powstał w odpowiedzi na artykuł/recenzję/analizę... tekst Estery Flieger, który ukazał się w marcowym wydaniu KIH-y. Przypomnę, iż mamy tu rozważania dotyczące dwóch filmów- *Lincolna* (2013) Stevena Spielberga i *Wroga numer jeden* (2012) Kathryn Bigelow. Niestety w związku z koniecznością ograniczenia swojej wypowiedzi (co zrozumiałe) do paru akapitów, skupię się jedynie na kilku aspektach, które uderzyły najmocniej.

Zacznę od grzechów ciężkich. Pierwszym z nich jest brak równowagi, chłodnego podejścia do sprawy. Niezwykle trafnie pisał o tym Krzysztof Kłopotowski w książce „Obalanie idoli”:

(...) krytyk nie tylko musi mieć rozległą wiedzę humanistyczną. Musi być także trzeźwy. Nie może pozwolić artyście, ażeby go uwiódł. Tym różni się od zwykłego widza. Publiczność idzie do kina po to, aby dać się uwieść. Chce płacić i śmiać się bez zagładania za kulisy tego widowiska. Dopiero po wyjściu z kina pragnie zrozumieć, co się z nim wtedy działo. Dlatego płaci z kolei krytykowi, by poniekąd zdemaskował sztuczki artysty. Obalił idola. Publiczność postępuje wtedy trochę jak kobieta, którą uwiódł oszust matrymonialny i poszła do psychoterapeuty, aby wyleczył ją z niebezpiecznej miłości. Krytyk jest detektywem w tym pięknym oszustwie, jakim jest sztuka.

Niestety wspomnianej trzeźwości nieco zabrakło, co widać wyjątkowo mocno w momencie gdy, autorka dyskredytuje twórcę zdjęć do *Życia Pi* (Claudio Miranda), na rzecz Janusza Kamińskiego (zdjęcia do *Lincolna*). Oczywiście, każdy ma prawo do własnych osądów i tego prawa w żaden sposób nie chcę odbierać, ale szczegółowe opisywanie procesu twórczego jaki przeszedł Janusz Kamiński, przygotowując się do realizacji *Lincolna* i pozostawienie „pustki” przy nazwisku Mirandy, daje jednoznaczny sygnał po czyjej stronie leży sympatia. Natomiast stwierdzenia typu (...) *Nie było czuć w nich ręki, czy raczej oka utalentowanego operatora, ale warsztat techniczny, komputerowy. Inaczej było w wypadku efektu osiągniętego przez J. Kamińskiego w Lincolnie* daje przekonanie, iż autorka tekstu nie tyle śledzi karierę obu panów, co jest znawczynią jeśli chodzi o analizę wizualną. Dorzucając swój kamyczek do tego ogródka - jednocześnie nie ujmuje nic J. Kamińskiemu, który wielokrotnie pokazał swój kunszt przy takich produkcjach jak *Lista Schindlera* (1993), *Szeregowiec Ryan* (1998) czy *Motyl i skafander* (2007) - tym razem ciekawszą kompozycję kadrów i ujęć według mnie zaproponowało *Życie Pi*.

Kolejnym grzechem jest streszczanie filmów. O ile w momencie, gdy robimy analizę danego obrazu jest to zasadne (wręcz konieczne) o tyle, w tym wypadku psuje nam całą zabawę. Niestety osoba, która nie widziała filmu *Wróg numer jeden*, czytając wspomniany artykuł niejako dostaje po twarzy. Dlaczego? Ponieważ nie widząc projekcji, wie o niej dosłownie wszystko, łącznie z zakończeniem. Paweł Felis w artykule *Jak napisać dobrą recenzję filmową?* zwraca uwagę, iż:

(..) jeśli ktoś szuka drobiazgowego przedstawienia filmowej fabuły, może z powodzeniem sprawdzić rzecz w Internecie. Recenzent-krytyk tym różni się jednak od autora zwykłego streszczenia, że pisze nie tyle o filmie, który widział, ale który sam „wyprojektował” sobie podczas oglądania. Oglądając „Zagubioną autostradę” Lyncha, „Tango” Rybczyńskiego czy „Siedem kobiet w różnym wieku” Kieślowskiego, wielu z widzów obejrzy zupełnie inne filmy.

Ostatnie zdanie wydaje się być znamienne. Dlatego czasami warto ugryźć się w język (w tym przypadku pióro i czegoś nie dopowiedzieć) niż psuć zabawę w „oglądanie filmu” i zdradzać wszystkie smaczki.

Czas na nieco lżejsze winy. Zaczniemy od tego, że pisząc tego typu tekst powinniśmy być ostrożni z ocenami. Może zabrzmiałoby to nieco paradoksalnie, lecz w recenzji należy unikać jednoznacznych, prostych zdań-zwrotów wartościujących, takich jak: gra aktorska jest słaba, kiepska, rewelacyjna, porywająca, muzyka przeszkadza, irytuje, rozprasza, czy też film jest znakomity, wybitny, nieudany. Tego typu zwroty są domeną prac pisanych na potrzeby szkolne, a nie publicystyczne.

Niejasny jest również status tekstu zaproponowanego przez autorkę, co wskazywałam na początku swojego wywodu. Nie jest to recenzja, analiza, jak również nie jest to zwyczajny artykuł czy esej. Tekst zawiera elementy wszystkiego po trochu. Mamy tu hybrydę, przez co niezwykle ciężko jest się do niej ustosunkować (wszak każdy rozdaj wypowiedzi zawiera cechy charakterystyczne bez, których nie może istnieć). O ile w przypadku analizy możemy (musimy) zdradzić fabułę filmu, o tyle w recenzji jest to nie wskazane. Gdy zaczynamy mieszać ze sobą różne formy wypowiedzi, właściwy odbiór intencji autora tekstu, staje się jeszcze trudniejszy do rozszyfrowania.

Na zakończenie niewielki błąd merytoryczny. W podsumowaniu *Wroga...* autorka twierdzi, iż *film nie został nagrodzony żadną statuetką*, co nie do końca jest zgodne ze stanem faktycznym. Obraz Katarzyn Bigelow otrzymał 30 nominacji i 9 nagród, w tym tą najważniejszą- Oscara- za najlepszy montaż dźwięku dla Paula N. J. Ottossona. W tym miejscu należy przyznać, że faktycznie nie jest to kategoria najważniejsza i, może jest to zwykle czepianie się mało istotnych faktów z mojej strony, ale stawiając sobie za tytuł artykułu piosenkę *Nothing else matters* Metallici, wręcz nie wypada zapominać o dźwięku.

Więcej grzechów nie pamiętam... Niemniej mam nadzieję, że mój wywód zostanie potraktowany jako próba zwrócenia uwagi, na kilka istotnych faktów, w dyskusji nad tym jak należy mówić o filmie i jakich błędów wypada unikać. Wszak filmy sprawiają nam największa przyjemność, gdy możemy doświadczać ich samodzielnie.

Andrzej Kramczyk

DO PRZECZYTANIA, DO ZOBACZENIA

Czy wypada polecać lekturę książki obecnej na polskim rynku od bez mała pięciu lat? W moim przekonaniu – tak, wypada i to z kilku powodów. Po pierwsze, odmiennie niż na Zachodzie, w Polsce książka nie wywołała szerszego oddźwięku. Po drugie, w czasach, kiedy czytelnik coraz częściej sięga po formy krótkie, obszerność tomu (1040 stron) może zniechęcać do lektury. Po trzecie, historyk rzadko sięga po beletrystykę opartą na materiałach historycznych, przedkładając nad nią literaturę faktu, reportaż, czy monografię naukowe. W przypadku monumentalnej powieści Jonathana Littela *Łaskawe*, warto odstąpić od tej reguły. Jeżeli nie przekonuje uhonorowanie jej nagrodą Goncourtów, to takie określenia krytyków, jak: „dzieło w duchu powieści Tołstoja, Dostojewskiego i Manna”, „pornografia zbrodni”, „diabelsko zręczna i inteligentna powieść... żadne streszczenie nie odda jej sprawiedliwości”, czy „analność zła” (trawestacja „Banalności zła” Hannah Arendt), mówią dostatecznie dużo. Jonathan Littel, piszący po francusku Amerykanin żydowskiego pochodzenia, przedstawił wydarzenia z frontu wschodniego II wojny światowej, opowiedziane przez Maksimiliana Aue, oficera SS. Aue był w szeregach oddziałów specjalnych, zajmujących się likwidacją Żydów, Cyganów, bolszewików zagrażających tyłom zwycięskiej armii niemieckiej. Wydarzenia, w których uczestniczył, nie mają wymiaru heroicznego. Są groteską, z ducha kafkowską, obnażającą jednocześnie kompleksy seksualne bohatera. „Łaskawe” przekonują, że absolutne zło, jakie uaktywnił nazizm, było skutkiem złamania wszystkich tabu, wszystkich zakazów, dzięki którym społeczeństwo może funkcjonować. Wyrafinowana kultura oprawców (warto zwrócić uwagę na udany „chwyt” pisarski: rozdziały powieści noszą nazwy części suitę muzycznej), jest tylko pustą skorupą, skrywającą najniższe instynkty, najgłębiej skrywane kompleksy. Zawodowy historyk doceni ogromny wysiłek autora, podjęty dla historycznie poprawnego zrekonstruowania tła powieści. „Kiedy tylko bierzemy tę książkę do rąk, reszta świata przestaje istnieć. Liczy się jedynie tych kilkaset stron przed nami”. Potwierdzam.

Jonathan Littel, *Łaskawe*, przeł. Magdalena Kamińska-Maurugeon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008, s. 1040.

Polecał: dr Krzysztof P. Woźniak

Katedra Historii Polski XIX w.

O Lord, please don't let me be misunderstood

Punktem wyjścia rozważań Raula Hilberga o drodze jaką przebył pracując nad książką *Zagłada Żydów Europejskich*, o drodze niezakończonyj w momencie wydania pracy, stała się recenzja opublikowana na łamach dziennika „New York Times”. *Całe życie pragnęłam prawdy o samym sobie* – po przeczytaniu wspomnianego tekstu Raul

Hilberg zaczął się zastanawiać kim jest po 31 latach prowadzonych badań, podczas których jak wspominał nie raz próbował *sięgnąć samego dna*. Problem Zagłady postanowił podjąć mając 22 lata. Co tym zadecydowało? Po jakie narzędzia sięgnął? Jakie tezy postawił? Jak je przyjął? Na te pytania odpowiada rekomendowana książka.

Pamięć i polityka. Droga historyka Zagłady (Warszawa 2012, przeł. J. Giebułtowski) to książka niezwykła i warta uwagi nie tylko historyków zajmujących się Holocaustem. Jej autor nigdy nie chciał zadawać wielkich pytań, ponieważ przyznawał, że boi się udzielić na nie małych odpowiedzi. Szczerość historyka uznaję za niezwykłą cechę rekomendowanej książki. Czytając ją miałam wrażenie, że to opowieść badacza świadomego swoich ograniczeń, czy też ograniczeń w ogóle stojących przed historykiem. To też jak mam wrażenie relacja historyka zmęczonego i przede wszystkim – niezrozumianego. Stąd przywołanie w charakterze motta fragmentu piosenki znanej przede wszystkim w wykonaniu Niny Simone. *Pamięć i polityka. Droga historyka Zagłady* pokazuje przed jakimi pytaniami, wątpliwościami stawia badacza odbiór jego dzieła. W narracji prowadzonej charakterystycznym językiem, nie pozbawionym ironii i dystansu do otaczającej rzeczywistości, jak i własnej osoby, odnajdziemy refleksje o amerykańskich uczelniach, kulisach życia naukowego i wielkich konferencji, które przypominały niekiedy Hilbergowi modny spektakl, na którym po prostu należało się pokazać, choć nie ma się nic nowego do zaproponowania. Wiele uwagi autor poświęcił odbiorze swojej pracy na świecie, a zwłaszcza przez innych naukowców (a szczególnie Hannah Arendt) zamieszczając fragmenty korespondencji nie tylko z nim, ale również o nim.

Hilberg wspomina początki swoich badań i opisuje dojście do głównych tez, a następnie pracę nad doktoratem. Relacjonuje również wysiłki jakie podjął był *Zagłada Żydów Europejskich* ujrzała światło dzienne. Dobrze oddaje je zdanie: *Musiałem zadać sobie pytanie, ile będę musiał wydać na publikację swojej książki*. Następnie pisze o odbiorze pracy - ciekawe wydaje się porównanie przyjęcia wyników jego badań w USA, Niemczech i Izraelu. Całość łączą wcześniej za wzmiankowane refleksje. Ważne miejsce w jego wspomnieniach zajął promotor Franz Neumann (autor pracy *Behemoth: The Structure and Practice of National Socialism*). Dostarczył mu narzędzia analitycznego. A znając tezy Hilberga stwierdził: *To będzie twój pogrzeb*. Zginął w wypadku i nie zobaczył efektów pracy oraz spełnienia się tych słów. Choć każdy sam czytając polecaną książkę może ocenić czy faktycznie się spełniły.

Pamięć i polityka. Droga historyka Zagłady jest interesująca pod wieloma względami. To świadectwo jakie zostawił po sobie historyk odważny, którego dokonania można określić jako przełomowe dla badań Zagłady i bezcenne pod względem metodologicznym. Historyk szczerze i nie bez emocji pisze o sobie, stosowanych narzędziach analitycznych, odbiorze dzieła i skłania do przemyśleń każdego kto wkroczył do świata rządzonego przez Klio. Ogromną zaletą książki Hilberga, przypominającej przyglądanie się autorowi w lustrze, jest wzbudzenie zainteresowania tematyką badań autora. Z niecierpliwością wyczekuję polskiego wydania *Zagłady Żydów Europejskich*.

Tadeusz Różewicz napisał niegdyś wiersz *Przyszli, żeby zobaczyć poetę*. I co zobaczyli? *Człowieka, siedzącego na krześle, który zakrył twarz* i pytał czemu nikt nie przyszedł do niego 20 lat wcześniej. W tym wierszu Tadeusz Różewicz przyjrzał się samemu sobie i temu, jak odbierają go inni. Podobną rzecz uczynił Raul Hilberg. ***Pamięć i polityka. Droga historyka Zagłady*** to zaproszenie Hilberga za kulisy, tak rzadko zostawiane przez badaczy. Nie zawsze jest tam jednak tak, jak sobie wyobrażamy. Sposób w jaki czyta się tę książkę nasuwa obraz badacza siedzącego na krześle - jak poeta z wiersza Różewicza – badacza, że podkreślę to po raz kolejny – szczerego i zmęczonego.

Polecała: Estera Flieger

W majowym numerze m.in.:

- *Nie taki diabeł straszny...*
- *Historyczne miejsca Łodzi – Ulica Wschodnia.*

**I Ty możesz zorganizować kolejną Łódzką Wiosnę Młodych Historyków!
(I nie tylko...)**

Studenckie Koło Naukowe Historyków UŁ zaprasza!

Wtorek 17.30 – sala 203

A KIH-a oczywiście czeka na Twoje teksty!

**Artykuły historyczne, recenzje, rekomendacje do działu „Do przeczytania,
do zobaczenia”...**

Nie pisz do szuflady, pisz do KIH-y!

kih-a@wp.pl

HISTMAG.ORG
PORTAL KAŻDEGO HISTORYKA

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Estera Flieger.

Korekta: Estera Flieger, Marcin Gawryszczak, Ewa Kacprzyk, Grzegorz Trafalski, Martyna Wilk.

Autorzy: Estera Flieger, Marcin Gawryszczak, Ewa Kacprzyk, Andrzej Kramczyk, Monika Latkowska, Anna Łazuchiewicz, Grzegorz Trafalski, dr Krzysztof Woźniak.

Projekt Rycerzyka: Przemysław Damski.

E-mail redakcji: kih-a@wp.pl

Nakład: 100 egz.